Warszawa, 15 Kwietnia 1911. Rok II. Nr 15

Ś. p. PROF. MARYAN SOKOŁOWSKI.

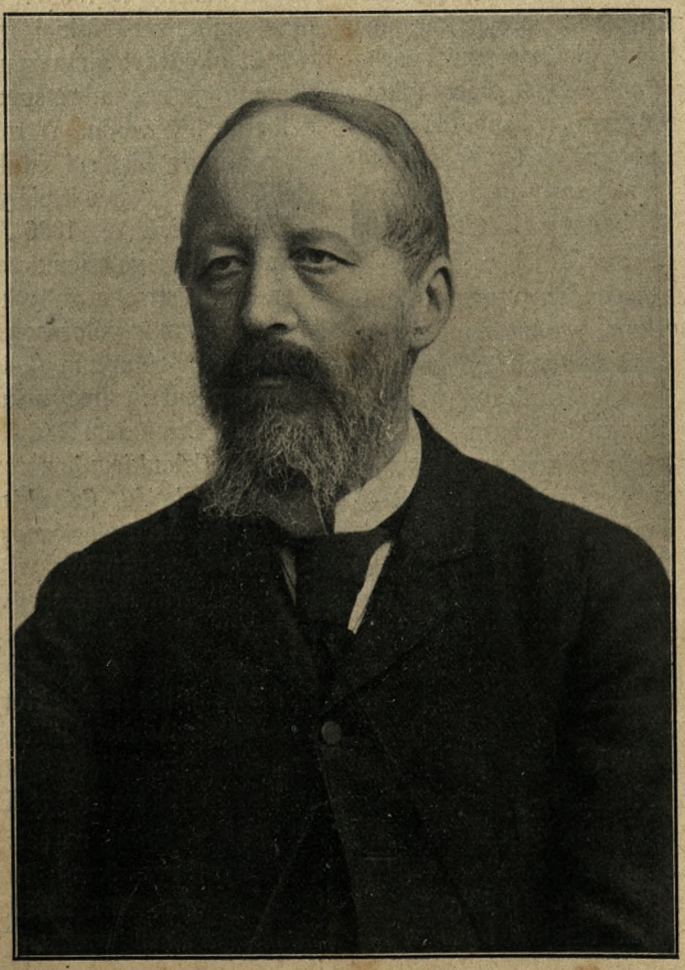

Nauka nasza poniosła ciężką stratę.

Z pośród nielicznego grona wybitnych pracowników na niwie historyi sztuki polskiej ubyła pierwszorzędna i wszechstronna siła w osobie ś. p. profesora Maryana Sokołowskiego.

Znakomity uczony europejskiej sławy, mąż ogromnej erudycyi, znający kraj i jego skarby artystyczne, poświęcił cały swój czas i wszystkie swe siły na studya i zbieranie materyałów do historyi sztuki polskiej, tak mało jeszcze zbadanej.

Pracę nad tym przedmiotem, zapoczątkowaną świetnie przez ludzi takiej miary jak: Józef Szujski, St. Tarnowski, Iz. Kopernicki, Baraniecki, Józ. Kremer, Al. Oleszczyński, J. Łepkowski i Wład. Łuszczkiewicz, prof. Maryan Sokołowski rozwinął i prowadził nietylko z podziwu godną wytrwałością i zamiłowaniem, ale i z nadzwyczajnym talentem i gruntowną znajomością rzeczy—tak rzadko u nas niestety spotykaną.

W kwestyach bowiem wyrokowania i oceniania

dzieł sztuki, wymagających sądu opartego na starannych badaniach naukowych, zabierają u nas głos często ludzie, skądinąd bardzo wykształceni, lecz nie dość wyspecyalizowani w tym właśnie kierunku.

Prof. Maryan Sokołowski, znający znakomicie historyę sztuki europejskiej dawnej i nowoczesnej, przy swej niepospolitej i wszechstronnej wiedzy mógł pracować i pracował istotnie z wielkim pożytkiem nad historyą sztuki narodowej, to też zasługi jego na tem polu są rzeczywiście ogromne.

Na tem miejscu nie jestem w możności i nie czuję się nawet w prawie oceniać jego działalności, której powaga i zakres powinny znaleźć swe określenie w gruntownej monografii.

Chcę tylko zaznaczyć, że wielkie zasługi Maryana Sokołowskiego dla naszej historyi sztuki są podwójne, gdyż nie tylko oddał się sam całą duszą umiłowanemu przedmiotowi, lecz widząc, że olbrzymi materyał leżący odłogiem marnuje się i ubywa z dniem każdym, wymagając pracy zbiorowej, której pojedyńcze siły chociażby z najlepszem przygotowaniem i chęciami nie są w stanie podołać, umiał zachęcić, pociągnąć i skupić młodszych pracowników, przelewając w nich swój szczery zapał dla ojczystej sztuki i nauki. Zapewnił w ten sposób dalszy trwały i celowy rozwój instytucyi naukowej, jaką jest Komisya do badania historyi sztuki w Polsce.

Jak wiadomo, ma ona na celu przez umiejętne opracowywanie zabytków, gromadzenie rysunków dzieł sztuki, rozpierzchłych na obszarze ziem dawnej Polski i poza jej granicami, i zbieranie odnośnego materyału archiwalnego ułatwić zadanie przyszłym historykom w wydawaniu sądu o przeszłości sztuki u nas, sądu opartego na gruntownych badaniach naukowych.

Inaczej napisanie historyi sztuki polskiej odwlekałoby się w nieskończoność, nie z powodu ubóstwa dorobku artystycznego, lecz dla nieznajomości tego, co posiadamy, wynikającego z dziwnego lekceważenia wszystkiego, co nie jest uznane przez obce powagi.

Komisya do badania historyi sztuki Akademii Umiejętności w Krakowie, której ostatnio przewodniczącym był ś. p. Maryan Sokołowski, w swych rocznikach „Sprawozdań" od 1887 r. pomieszczała poważne prace na polu przeszłości sztuki i materyały do dziejów tejże w rysunkach i opisach zabytków archeologii, architektury, rzeźby, malarstwa, starej sztuki stosowanej t.j. przemysłu artystycznego. Do wszystkich tych prac i komunikatów ten badacz sumienny dodawał zawsze swe liczne komentarze i uzupełnienia wyczerpujące, nacechowane doskonałą znajomością przedmiotu, ścisłością i jasnością sądu, wzbudzające podziw dla tak wielostronnego umysłu.

Wydawnictwa sprawozdań Komisyi do badania hist. sztuki w Polsce, postawione przez prof. M. Sokołowskiego pod względem formy na poziomie najwybitniejszych tego rodzaju wydawnictw zagranicznych, były jego chlubą i dumą; są to własne słowa zmarłego, które słyszałem od Niego dwa lata temu, podczas Jego bytności w Warszawie, gdy będąc u mnie snuł dalsze projekty nowych prac, i gdy dla zebrania uzupełniającego materyału do monografii Zamościa lubelskiego, nad którą na czele komisyi pracował od dłuższego czasu, układaliśmy wspólną tam wycieczkę.

Urodzony w 1839 r. w Czyżewie kościelnym gub. łomżyńskiej prof. Maryan Sokołowski ukończył gimnazyum realne w Warszawie, studya zaś uniwersyteckie w Peszcie, Heidelbergu i Wiedniu. W roku 1881 powołano go na profesora historyi sztuki do wszechnicy Jagiellońskiej, gdzie był pierwszym wykładającym ten przedmiot. W 1886 Akademia Umiejętności mianowała go członkiem czynnym, a w r. 1887 Komisya Centralna zabytków sztuki w Wiedniu — członkiem współpracownikiem. Był poza tem dyrektorem Muzeum książąt Czartoryskich, korespondentem Instytutu Archeologicznego w Wiedniu, Członkiem Rady sztuki w ministeryum oświaty, Członkiem honorowym Tow. hist. sztuki we Wrocławiu, Członkiem rzeczywistym Cesars. Tow. Archeologicznego w Moskwie, Towarzystwa starożytników w Królewcu i Ces. Król. Radcą Dworu, nareszcie jednym z twórców i dyrektorem domu Jana Matejki w Krakowie.

Z długiego szeregu prac zostawionych przez tego dostojnika nauki, których tu nie wyliczam, wspomnę zaledwie o kilku, aby wykazać wielostronność przedmiotów, jakie obejmował swemi badaniami ten umysł niepospolity.

I tak: Ruiny na ostrowie jeziora Lednicy z własnymi rysunkami; Studyum nad budownictwem w przedchrześcijańskich i pierwotnych chrześcijańskich wiekach w Polsce; Kościoły

i cmentarze warowne w Polsce (do spółki z Janem Zubrzyckim i Grzegorzem Worobjewem); Dwa gotycyzmy — wileński i krakowski w architekturze i złotnictwie i źródła ich znamion charakterystycznych; Bizantyjska i ruska średniowieczna kultura; O wykopaliskach dedońskich; Zagadkowy nagrobek Katedry Gnieźnieńskiej; Wielka rezydencya i wielki ród, Hans Suess von Kulmbach i jego mistrz Jacopo del Barbari—niezmiernie cenna praca porównawcza; Zbiór gemmogliptyczny p. Szmita Ciążyńskiego; Studya i szkice z dziejów sztuki i cywilizacyi; Nieznany dar kr. Jadwigi dla katedry na Wawelu; Pasy metalowe w Polsce, Erazm Kamyn złotnik poznański i wzory przemysłu artystycznego u nas w XV — XVI stuleciu i t. d. i t. d.

Tych kilka tytułów jest zaledwie częścią dużego dorobku pracy prof. Maryana Sokołowskiego, obejmującego wielki zakres badań przeprowadzonych nad nietkniętym i surowym materyałem historyi sztuki narodowej, dla której mając już przygotowany grunt położył niepożyte zasługi.

Nieubłagana konieczność zabrała tego obywatela kraju i wielkiego uczonego, który poświęcił nauce ojczystej swe owocne życie, pozostawiając po sobie pełne czci wspomnienie u wszystkich, komu przeszłość i nauka polska są drogie.

Józef Smoliński.

DWIE ŚWITEZIE. [10]

Otóż przy niewielkim nakładzie można byłoby urządzić letniska, a wtedy widzielibyśmy tu, jak na wybrzeżu jeziora Błotnego setki dzieci, kąpiących się w ciepłych wodach jeziora lub bawiących się na piaszczystem jego wybrzeżu. Nie trzeba byłoby jeździć po „zagranicach" do t. zw. „badów", bo i tutaj znaleźć byłoby można wszystko, czego szukamy na obczyźnie. Tak, to prawda, ale jakże jeszcze daleko do tego...

Od rozmowy naszej, prowadzonej z tubylcami o projektach urządzenia letnisk nad Świtezią, odwołani zostaliśmy na wiejski posiłek, a zaspokoiwszy głód, wyruszyliśmy na wybrzeże. Tu, na szerokim pasie gruntu piaszczystego, porosłego nikłą trawą, znajdują się mniej lub więcej obszerne zagłębienia z płytką wodą, w których znaleźliśmy całemi setkami okazy jednego gatunku ślimaków (Limnaeidae). W samem jeziorze dno u brzegów jest czyste, pokryte piaskiem, tak jak w Świtezi nowogródzkiej, tylko, że tu nie rośnie stroiczka (Lobelia), ani poryblin (Isoëtes), lecz natomiast wyrasta drobnemi kupkami ramienica (Chara sp.), zwana przez ludność miejscową „mchem wodnym".

Im głębiej, tem kupki „mchu" stają się większe; kolor tej roślinki jest szarawy z odcieniem zielonkawym; tu i owdzie pełzają po nim powoli duże ślimaki, barwy jasnej, różne od tych, cośmy widzieli w zagłębieniach nadbrzeżnych. Woda u brzegu jest bardzo płytka, tak, że czółnem przybić trudno do brzegu; powoli i stopniowo pogłębia się potem aż do pasa, porosłego sitowiem (w narzeczu miejscowem sitnik, Scirpus), albo trzciną (oczeret — Phragmites), rzadko bardzo skrzypem (chwystek albo chwyszczka.„Chwoszcz" po rosyjsku. Equisetum). Od tego pasa, jak gdyby ochronnego dla wybrzeży, o który rozbijają się fale jeziora, rozpoczyna się dno ciemne. Na wybrzeżu znajdywaliśmy wyrzucone skorupki ślimaków, które tutejsi mieszkańcy nazywają „czerepuszkami", następnie skorupki skójek; natomiast kawałów pancerzy raków nie znajdywaliśmy wcale; powiadają, że przedtem były one w Świtezi, lecz że już wyginęły, a teraz nie życzą sobie właściciele Świtezi zasiedlać ich na nowo, uważając je za szkodliwe dla hodowli ryb, albowiem karmić się mają ikrą i młodym zarybkiem. Z opowiadania świteziaków wnosić musimy, że raki Świtezi, które wyginęły, należały do gatunku krótkopalcowego (Astacus fluviatilis).

Gdyśmy byli zajęci wyszukiwaniem ślimaków u brzegu, pozostawiliśmy siatkę opodal, nie przypuszczając wcale, ażeby ktoś się znalazł z pomiędzy włościan, coby ją chciał sobie przywłaszczyć; po niejakim czasie wróciliśmy do miejsca, gdzie leżała owa siatka, lecz już jej nie było; pozostałe

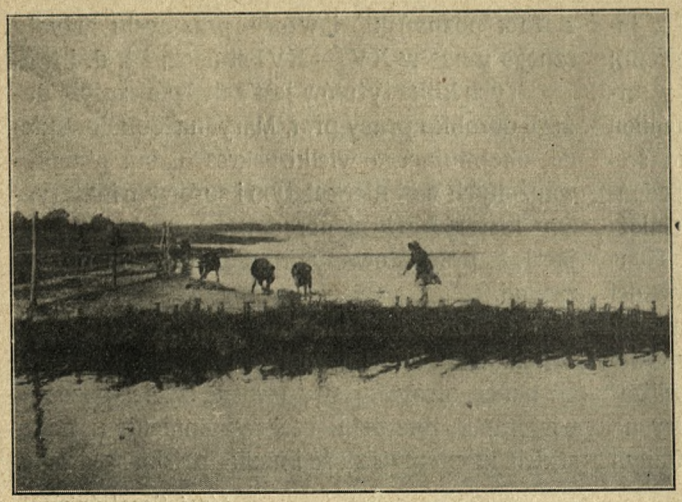

PRACZKI NAD ŚWITEZIĄ *fot. B. Danieyko*

obok ślady kół i kopyt końskich świadczyły, że któryś z podchmielonych, wracających z Szacka po nabożeństwie i kiermaszu dzisiejszym, chcąc napoić konia, podjechał do brzegu jeziora, a spostrzegłszy siatkę, zabrał ją sobie na własność. W ten sposób straciłem narazie narzędzie łowu, nie dające się tu niczem zastąpić, a nadto straciłem wiernego mi dotąd towarzysza, bo poczynając od Kamczatki była ona ze mną zawsze przez wszystkie okolice zwiedzane kolejno: w Japonii, na Cejlonie, i t. d. To złodziejstwo przejęło nas smutkiem, tem większym, żeśmy sobie urobili pojęcie bardzo pochlebne o mieszkańcach nadświteziańskich, wyposażając tych rzekomo bezpośrednich potomków prarodziców słowiańskich wszelkiemi możliwemi cnotami, a tymczasem już na wstępie spotkało nas takie dotkliwe rozczarowanie. Nieraz na Kamczatce i w innych miejscowościach pozostawiałem siatki bez dozoru na wybrzeżu, odchodziłem daleko, a nigdy mi się nie zdarzyło, ażeby ktokolwiek przywłaszczył sobie rzecz, która w domowem życiu włościan jest im zgoła niepotrzebna i nieprzydatna.

Długo nie mogliśmy przeboleć straty siatki; to też, wróciwszy już późno wieczorem do domu, opowiadaliśmy miejscowym mieszkańcom o tym smutnym wypadku i o naszem rozczarowaniu, odnośnie do cnót świteziaków.

Obecni świteziacy oświadczyli, że chyba złodziejstwo popełnił jakiś z a l e s i a k, bo ś w i t e z i a k i są uczciwi; pijany to musiał być człowiek—powiadali, musiała mu się podobać rączka bambusowa, ozdobiona figurami i hieroglifami chińskimi. Z powodu wypadku, o którym mowa, toczyła się długo nasza rozmowa, mając za temat moralność ludu tutejszego i udzielane mu nauki moralności. Okazało się, że szczególnie godną zaznaczenia jest szlachetna moralność niewiast tutejszych, o których odzywano się z uszanowaniem; chwalono ich wstrzemięźliwość, ich czystość obyczajów. Dziewczęta są tu wprost r zchwytywane do stanu małżeńskiego; zaledwie która kończy lat 15, a już staje na kobiercu. O dzieciach, zrodzonych z nieprawego łoża, nie słychać wcale. Kobiety w rodzinie zajmują pierwsze miejsce. O mężczyznach nie tak pochlebnie się wyrażano; pijaństwo jest powszechne, ludność wzbogaca monopol o 11,000 do 15,000 rb. rocznie; każde mieszkanie żydowskie jest szynkiem — to też nie kupują wódki w monopolu, lecz u żydów, którzy dają tę truciznę na kredyt. Złodziejstwo zdarza się wyjątkowo. Gdy zapytałem, dlaczego niema psów we wsi, co zdaje się świadczyć, że ludność złodziei nie obawia się, odpowiedziano, że psy były liczne, lecz, że je wystrzelano z powodu dbałości władzy o zdrowie mieszkańców; mianowicie ktoś doniósł, że pies wściekły był we wsi, więc wyszło rozporządzenie, ażeby wystrzelać wszystkie psy, tak, że teraz za wyjątkiem paru piesków pokojowych niema ich wcale we wsi.

Dalsza rozmowa o pijaństwie wykazała, że kobiety piją mało, jakkolwiek niema takiej osoby we wsi całej, poczynając od dzieci drobnych, któraby alkoholu nie zażywała. Pijaństwu oddaje się

WYŻYMANIE BIELIZNY NAD ŚWITEZIĄ *fot. B. Danieyko*

przeważnie młodzież, a szczególniej uprawiane ono bywa w święta i z okazyi różnych uroczystości; przy weselach, chrzcinach, na pogrzebach musi być gorzałka, bez tego traktamentu obyć się nie można, często sprzedaje się ostatnią krowę, ale wódka być musi. „O jadło mniejsza, byleby było co pić", zauważył Daniło, jeden z obecnych włościan, który miał nam służyć za wioślarza przy naszych projektowanych wycieczkach na jezioro. Otóż ten Daniło niema obecnie ani wołu, ani konia, ani krowy, nie ma nawet wieprza ani kur, ma tylko chatynę, żonę i dwoje dzieci. Wszystko, co miał, przeszło do żydów; dziś utrzymuje się rodzina pracą najemniczą. Gdym przedstawiał, że wódka jest trucizną i gdym zachęcał, ażeby pić przestał, odpowiedział naiwnie: „a czy to można nie pić?" Nie pierwszy to raz słyszę podobną uwagę i to nie tylko z ust prostaczych, lecz przeciwnie, nieraz lekarze, i to renomowani, oświadczali z całą naiwnością prostaków, że umiarkowane używanie napojów alkoholicznych jest rzeczą konieczną w świecie kulturalnym; więc dziwić się nie możemy, że Daniło podziela zdanie ludzi, uczonych.

DANILO W KRYPIE *fot. B. Danicyko*

Po długiej pogadance wieczornej udaliśmy się na noc do odryny. Noc była chłodna lecz cicha, wiatr pod wieczór ustał prawie zupełnie. Zabudowania gospodarskie Krzesickich są porządne i utrzymane wzorowo, nigdzie nie widać najmniejszego nawet śladu niedbałości. Gumno, odryna, stajnia, wozownia, chlewy i t. d. są zbudowane w czworobok, otaczając podwórko. Pod nakryciem dachu umieszczone stare, duże, masywne krosna, starożytny pradziadowy zabytek.

Mamy jutro wstać rano, przed wschodem słońca, ażeby być obecni, gdy rybacy wracać będą z połowu. Już o godz. 6 z rana wyszedłem nad jezioro, lecz tu dowiedzieliśmy się, że rybacy wrócili bardzo wcześnie i że ich połów dzisiejszy jest mizerny. Odłożywszy obejrzenie ryb złowionych na później, gdy będzie obecny w budynku rybackim sam dzierżawca, mający monopol połowu na jeziorze w swem ręku, poszliśmy wzdłuż wybrzeża, ażeby się przypatrzeć czynności prania bielizny przez świtezianki. To rysują się one wyraźnie zebrane grupami, to pojedyńczo rozrzucone na tle wody, ponad którą wznosi się mgliste powietrze. Tam, gdzie są zebrane w gromadkę, słychać wartką rozmowę, nie głuszoną wcale rączo wybijanym taktem „pralników". Do wykręcania bielizny, każda z praczek ma dosyć wysoki palik, gładko wystrugany i mocno wbity w ziemię; wypraną sztukę bielizny zakłada świtezianka pętlą na palik, a następnie obu rękami wykręca, „wyżyma"; jest to sposób wykręcania daleko lepszy, niż używany powszechnie na Litwie, w Rosyi i na Syberyi, gdzie się „wyżyma", trzymając bieliznę w rękach, bez pomocy palika, gdy tu „„aż do ostatniej kropli" usuwa się wodę z pranej sztuki bielizny, jak nam powiadały świtezianki. Pozornie prozaiczna czynność praczek nad Świtezią, wykonywana gromadnie o rannych godzinach, przed wschodem słońca, tak nam się poetyczna wydała, jak odpowiedni obraz, kreślony przez Homera w Odyssei i o wiele poetyczniejsza, niż pląsy fantastycznych rusałek w poezyi romantycznej; to też postanowiliśmy utrwalić tę czynność praczek przy pomocy fotografii, lecz że pora wczesna i mglistość powietrza nie pozwalały na zdjęcie momentalne w owej chwili, uskuteczniliśmy to nieco później; niestety, większa część świtezianek wróciła już była do domów.

Po spożyciu rannego śniadania wybraliśmy się do budynku, stojącego na wybrzeżu, gdzie przechowują ryby, pochodzące z połowu. Znaleźliśmy tam już obecnego p. dzierżawcę monopolu rybnego. Dla umożliwienia takiego monopolu nikt z włościan nie ma prawa mieć na własność czółna, nawet prawo używania wody dla moczenia konopi i t. d. musi być opłacane. P. dzierżawca, żyd cywilizowany, mówiący dobrze po polsku, o wyglądzie niechałatowym, kazał nam pokazać ryby dzisiejszego połowu; ilość wcale niepokaźna, zaledwie około 2-ch pudów. Ze złowionych ryb mamy tu gatunki następujące: płoć wzdręga (Scardimus erythrophtalmus), okónie (Perca fluviatilis), krąpie (Blicca

argyroleuca), ukleje (Alburnus lucidus) i szczupaki (Esox lucius).

W rozmowie z p. „arendatorem" dowiadujemy się, że płaci za dzierżawę 3,000 rb., gdy za dzierżawę Świtezi nowogródzkiej płacą żydzi 50 rb. rocznie. Inne wszystkie relacye p. „arendatora" nie zasługują na wiarę, robi bowiem wrażenie, jakby podejrzewał nas o konkurencyę przy nowym kontrakcie, gdzie mają projekt podnieść sumę dzierżawną do 3,600 rb. Wypytując się o gatunki ryb, łowionych w jeziorze, przekonywamy się, że właściwych rybaków tu niema; ci, co się obecnie zajmują połowem, to są najemnicy, znający tylko powierzchownie ryby Świtezi; tak np. nie wyróżniają krąpia od leszczów małych, klenia nie znają wcale, to samo cierpnika. Z gatunków, które znają albo które sam widziałem, wymieniam następujące: 1) płoć pospolita (Leuciscus rutilus), 2) płoć wzdręga (Scardinius erythrophtalmus), 3) jaź pospolity (Idus melanotus), 4) jelec (Squalius leuciscus), 5) ukleja (Alburnus lucidus), 6) leszcz (Abramis brama), 7) krąp (Blicca argyroleuca), 8) karaś (Carassius vulgaris), 9) lin (Tinca chrysitis), 10) kiełb (Gobio fluviatilis), 11) śliź (Cobitis barbatula), 12) wjun (Cobitis fossilis), 13) szczupak (Esox lucius), 14) sum (Silurus glanis), 15) miętus (Lota vulgaris), 16) węgorz (Anguilla fluviatilis), 17) okoń (Perca fluviatilis), 18) cierpnik moskiewka (Gasterosteus pungitius). Według tego spisu Świteź miałaby mniej, niż połowę gatunków, znanych obecnie w naszym kraju, ilość których, można określić w przybliżeniu liczbą 50. Najbardziej nas zdziwił brak sielaw (Coregonus), sielawek (Cor. albula), stynek (Osmerus), sandaczy (Lucioperca sandra), które to gatunki są pospolite w jeziorach północnych. Nie znając dokładnie obecnej fauny ichtyologicznej Świtezi, żadnych wniosków stawiać nie można w kwestyi, czy znajdą się tu gatunki albo formy południowe.

Wogóle rybołóstwo na Świtezi może być uprawiane tylko dorywczo, tajemnie przez mieszkańców. Dzierżawca ma czujne oko i chętnych szpiegów. Gdy uwłaszczono włościan, pozwalano brać tyle gruntów, ile kto chciał na spłatę ratami, stosownie do ilości wziętej w posiadanie ziemi. Zaproponowano nawet włościanom kupno jeziora z okolicami za sumę 18,000 rb. Atoli włościanie kupować nie chcieli, bo powiadali, że nikt im wody nie zabierze. Nie znalazłszy kupca, władze państwowe pozostawiły Świteź pod opieką zarządu dóbr państwa. Następnie darowano ją jenerałowi Dragomirowowi, byłemu generał-gubernatorowi kijowskiemu; miał to być człowiek szlachetny, więc nie bardzo wyzyskiwał lud okoliczny, przyjeżdżał parę razy do swych tutejszych posiadłości, miał jakoby sam wymierzać głębokość jeziora, marzył o podniesieniu gospodarki rybnej, sprowadzał p. Girdwoynia, jako znawcę tego działu gospodarki, badał z nim wspólnie źródła żelaziste i — umarł, nie potrafiwszy wprowadzić nic nowego; po jego śmierci zmieniły się już się znacznie stosunki na gorsze. Obecni spadkobiercy g. D. mają jakoby zamiar sprzedać całą posiadłość za 65,000 rb., to też dzisiaj włościanie mieliby znowu sposobność zakupić jezioro, zaciągnąwszy pożyczkę w banku włościańskim, lecz tego zapewne nie uczynią, bo wolą przepijać rocznie prawie 15,000 rb., aniżeli tym kapitałem spłacać zaciągniętą pożyczkę. Oględniejsi gospodarze przewidują, że gdy nowy jaki właściciel weźmie w swoje ręce wody, łąki i lasy okoliczne, to ludności miejscowej będzie o wiele gorzej, niż jest obecnie, lecz ogół ludności utrzymuje w swojej naiwności, że nic gorszego już być nie może nad to, co jest obecnie.

Rozmawiając z włościanami o projekcie kupna jeziora na własność, badaliśmy ich stopień zamożności. Nędzy tu niema, i gdyby nie wódka, żyliby wszyscy w dostatku; otóż wódka i pijaństwo są przeszkodą do dobrobytu.

Po powrocie z oględzin ryb radzą nam się udać do popa A. Janowicza, emeryta, który ma własną łódkę, i prosić go o pożyczenie jej na dni kilka. P. Bolesław wybiera się z wizytą do popa, my zaś wracamy w towarzystwie kilku włościan do domu, oczekując na rezultat wizyty. W czasie tym wypytuję się o cenę ryb i o inne szczegóły. Ryby większe sprzedają po 24 grosze za funt, mniejsze po 16 gr., średnio sprzedają pud po rb. 4 czyli po 20 gr. za funt. Dochodów dzierżawcy określić nie umieją, lecz sądzą, że musi mieć dochodu do 5,000 rocznie, bo czy taki żyd-arystokrata chciałby tu przesiadywać dla mniejszego zysku? Ryb ma tu być mnogość wielka. Daniło, który się zwykle wynajmuje przy połowie, powiada, że kiedy łowią zimą pod lodem przezroczystym, to się widzi wtedy olbrzymie runa leszczów i innych ryb, tylko dodaje, że połów jest bardzo utrudniony wskutek nierówności dna; głębie mają być wielkie, w których wystają bryły skalne i gdzie ma być dużo zatopionego drzewa. Głębie w niektórych miejscach mają dochodzić do 40 sążni. Płaca robotników przy połowie ryb wynosi latem 50 kop., zimą 30 kop., a do tego dają ryby na pokarm przy własnym ich chlebie i kartoflach, nadto dają także czarkę wódki na osobę. Latem łowią przeważnie w nocy; siecie wyciągają zapomocą kołowrotu na większą łódź, stojącą na kotwicy. Najbardziej cenione gatunki ryb są leszcze i szczupaki. Dla wypróbowania smaku ryb świteziańskich kupił p. Bolesław szczupaka i oddał jednej z pięknych cór Izraela do

sporządzenia z niego potrawy zwanej „szczupak po żydowsku"; mamy się nim rozkoszować po powrocie z wycieczki na wyspę, projektowanej na dzisiaj.

Niebawem wraca p. Bolesław z pomyślną wiadomością, bo p. Janowicz udzielił pozwolenia na używanie łódki przez cały czas naszego tutaj pobytu. Właściciel łódki jest to człowiek kulturalny, należący do popów dawnej daty. Mówi dobrze po polsku, czyta dzieła drukowane czcionkami alfabetu łacińskiego, daleki jest od wszelkiego fanatyzmu i szowinizmu; obecnie jest emerytem, pobiera małą pensyjkę, mieszka w domku, kupionym na własność, a z nim jego siostra, również mówiąca dobrze po polsku.

(DCN) *Dr. Ben. Dybowski.*

Po Wystawie Zdobnictwa Ludowego.

Że obyczajowo zetknięcie naszych mas t. zw. kulturalnych t. j. niby cywilizowanych z ludem wywiera następstwa ujemne, to namacalnie widać w Zakopanem (zdzierstwa i łapczywość na grosz górali), oraz w Ojcowie i Nałęczowie (mimo wszystko zetknięcie z jednostkami, przybywającemi z Warszawy, wywiera wpływ niekorzystny, demoralizujący na mieszkańców tamecznych). Może są to następstwa nieuniknione, ale zawsze niepożądane, gdyż zamiast podnosić, obniżają.

Zupełnie niemal identyczny, niepożądany wpływ wyczułem, studyując okazy na wystawie t. zw. zdobnictwa ludowego.

Gdzie tylko nie dotarły jeszcze wpływy środowisk t. zw. cywilizowanych, tam widać było w motywach ludowych ową przedziwną naiwność i wierne trzymanie się tradycyi. Naiwności podrobić niepodobna, a tradycyę trzeba mieć, aby się w niej utrzymać.

W miejscowościach zaś, gdzie zetknięcie z t. zw. cywilizacyą już miało miejsce, poczyna się wyczuwać narzucony szablon, daleki od szczerej naiwności, a nic z dawną tradycyą miejscową wspólnego nie mający. Gdy zaś do tego dodam rozwydrzanie włościanina na zbyt t. j. zysk, i to zysk łatwy stosunkowo ze sprzedaży „modnych" teraz w pewnych warstwach społecznych „wyrobów ludowych", wtedy wyczuje się rzecz okropną: — oto uzależnienie wiejskiego t. zw. artysty od kapitalisty odbiorcy. Za taki towar płacą, takiego dostarczam. I taki towar się przygotowuje. Odbiło się to „zapotrzebowanie" w „podaży" t. zw. wycinanek i pająków.

Wycinanki z Radomskiego (№ 330), widocznie wzorowane na motywach „empirowych" oraz narodowo-patryotycznych z 1863 r., żadnych tradycyi ludowych nie mają. Wycinanki z Nałęczowa (Lubelskie) chociaż b. kunsztowne, jednak mało ludowe i charakterystyczne. Wycinanki łowickie to już doprawdy rodzajowe obrazki, sceny z życia ludu i z jego zajęć; znać na nich krzywiący wpływ czyjejś suggestyi. „Pająki" poprostu nadesłano przeważnie fabrykowane na zbyt w mieście śród publiczności, dla której okolice Belwederu i Bagateli są już wsią polską i daleką prowincyą.

Możnaby te uwagi snuć bez końca. Ale nie o biadanie mi chodzi. Chciałbym określić wyraźnie rolę inteligencyi w stosunku do przyszłości t. zw. zdobnictwa ludowego. Rola to ma być ułatwiająca jedynie t. j. nie ułatwiająca sprzedaż i zyski, ale ułatwiająca wykonywanie owego zdobnictwa.

Gdy do r. 1883 większość najsubtelniejszych wycinanek wykonywały chłopki przy pomocy nożyc od strzyżenia owiec — to inteligencya powinna była im podsunąć odpowiednie narzędzie. Gdy wycinanki wykonywano z papierów barwnych pośledniego gatunku, to inteligencya winna była podsunąć materyał barwny trwały, tani a dobry. Gdy samouk-snycerz wioskowy „dłubał" naiwnie „świątków" kozikiem, to inteligencya powinna mu dać dłuto snycerskie doręki.

Starać się o doskonałość (precyzyę) wykonania. Twórczości, o ile ona istotna jest, nie tykać; dać jej tylko ulepszone warunki techniczne do rozwoju i wypowiedzenia się.

Następnie, gdy lud tworzyć dalej będzie swoje ulubione motywy — motywy te w muzeach starannie i troskliwie z pietyzmem zachować. Im więcej i wszechstronniej dział ten

24. JEZIORO CHODECKIE W POW. WŁOCŁAWSKIM *fot. L. Ostaszewski*

będzie reprezentowany w muzeach, tem większy materyał zdobniczy czekać będzie na człowieka zdolnego a gruntownie ukształconego, który, materyał ten poznawszy, pocznie go umiejętnie a właściwie stosować, t. j. oparłszy się na nim, „tworzyć" rzeczy piękne, nowe, stylowe, związane istotnie z tym materyałem.

I tak piękny motyw np. „łyżnika" da nam „ornament" wypełniający „pole" wązkie a długie. Wycinanka „gwiazda" lub „drzewko" z powodzeniem posłuży jako „wzorzec" do intarsyi (mozajki) drzewnej. „Pająk" da piękne motywy „zawieszenia" u lampy elektrycznej, „plecionka" łykowa — przystosuje się do „obramienia biegnącego" wokół sufitu. Słowem skarbnica „form" znajdzie przystosowanie kulturalne po przetopieniu w twórczej inteligencyi artysty.

Tą drogą postępując, unikniemy dziwactw, w rodzaju oprawiania książki w „pas" krakowski. Lud książek nie oprawiał, typu nie wytworzył, ale musi być koniecznie oprawa książki „ludowa", bo taka teraz „moda".

Więc ostrożnie z „deprawowaniem" ludu i wyciąganiem jego świętych tradycyi i wierzeń, których wyrazem są „zdobienia", jak my je nazywamy. Nie zapominajmy, że nasz poziom a poziom ludu to dwa różne poziomy. Że my do poziomu ludu wracać nie możemy, a lud odrazu na naszym poziomie nie stanie, bo musiałby dwa stulecia conajmniej przeskoczyć, a taki cud stać się wbrew prawu ewolucyi nie może.

Przejawy t. zw. zdobnictwa ludowego mamy umiejętnie i troskliwie zbierać i chować (w muzeach), ułatwień ludowi dostarczać, ale „giełdy" i „mody" z tych skarbów ludowych odwiecznych czynić, ani ich indywidualności, naiwności, odrębności i charakteru wypaczać, nam, niby to cywilizowanym, nie wolno!

Maryan Wawrzeniecki.

26. Zamek w Starym Konstantynowie. *Ze zbiorów Polsk. Tow. Krajozn.*

W gubernii wołyńskiej, w odległości $15^1/_2$ mil od Żytomierza, przy ujściu Ikopoci do Słuczy, dopływu Prypeci, leży miasto Stary Konstantynów. Miasto to z kilkunastotysięczną ludnością, z przeważającym elementem żydowskim, z zamierającym przemysłem i słabo rozwiniętym handlem ma za sobą dość ciekawą przeszłość. Początki jego sięgają wieku XVI-go, gdy kniaź na Ostrogu, Konstanty Konstantynowicz, nabył dobra Kołyszczyńce i w nich z pozwolenia Zygmunta Augusta z roku 1561 założył miasto na prawie magdeburskiem, nazywając je od swego imienia Konstantynowem. Na początku następnego wieku Konstantynów przechodzi w posiadanie kniazia Janusza, syna Konstantego, który utworzył ordynacyę ostrogską i do niej wraz z 80 innemi miastami włączył i Konstantynów; w tym czasie miasto przybiera nazwę Starego Konstantynowa dla odróżnienia od Nowego Konstantynowa na Podolu.

Nie mając męzkiego potomka, kniaź Janusz był zmuszony zapisać ordynacyę potomkom swej córki, żony wojewody kijowskiego, Zasławskiego. Jakoż w r. 1620 ordynacya przechodzi w ręce nieletniego Franciszka Zasławskiego, po którym ordynatem zostaje brat jego, Władysław-Dominik, niefortunny regimentarz, przezwany przez kozaków „pierzyną" (zupełnej nieudolności i braku znajomości sztuki wojennej z jego strony dowiodła klęska pilawiecka). Po śmierci syna jego, ostatniego męzkiego przedstawiciela rodu Zasławskich, ordynacya ostrogska pozostawała bez dziedzica do r. 1675, dopóki Jan III osobnym dekretem nie przeznaczył jej w dożywocie wdowie po Władysławie-Dominiku Zasławskim i jego córce. W XVIII-ym wieku objął w posiadanie ordynacyę Aleksander Dominik Lubomirski, mąż tej ostatniej. Gdy i ten umarł bezpotomnie w młodym wieku, po długich ceregielach ordynacyę wydano siostrze jego Sanguszkowej, której syn postarał się, aby dobra te uznano za spadkowe. Lekkomyślny ten człowiek, jednając sobie przyjaciół, rozdał między innymi i klucz starokonstantynowski. Jednakże około r. 1754 córka jednego z obdarowanych, żona Stanisława Lubomirskiego, potrafiła zjednoczyć w swem posiadaniu cały klucz wraz z miastem, którego panami do r. 1800 pozostwali Lubomirscy. Klucz przeszedł wreszcie od nich

do ich córki, hetmanowej Rzewuskiej, i ostatecznie rozpadł się w r. 1860, chociaż już przed r. 1830 długi przewyższały wartość fortuny (komisya rządowa, zamianowana w celu uregulowania interesów, przysporzyła jeszcze długów). Po r. 1860 nabyła Starokonstantynów księżna Abamelek, a od r. 1895 dziedziczką miasta jest p. Dubasowa.

Miasto, założone w drugiej połowie XVI-go wieku, rozwijało się szybko i pomyślnie; w końcu tegoż wieku liczyło około trzystu kilkudziesięciu domów, a już w następnym z wielkiem uznaniem odzywano się o jego warowności.

W r. 1636 zamek tameczny był otoczony wałem ziemnym z potężną bramą piętrową murowaną; zabudowania zamkowe składały się z dużego budynku drewnianego (na piętrze sala o 15 oknach) i arsenału murowanego, jak naówczas nieźle zaopatrzonego.

Miasto posiadało już wtedy ratusz z wieżą zegarową i 845 domów i było otoczone wałem ziemnym, przerwanym trzema bramami wjezdnemi. Dalszemu jednak pomyślnemu rozwojowi Starego Konstantynowa przeszkodziły napady tatarskie i kozackie, pożary i głód. Przed buntem Chmielnickiego, t. j. w czasie rozkwitu miasta, trzy razy wpadali doń tatarzy; każde takie najście obracało Stary Konstantynów w perzynę;—nieraz po pożarze lub napadzie w mieście, składającem się przeważnie z zabudowań drewnianych, pozostawało ledwie 100 domów, lecz prawie zawsze udawało się mieszkańcom odbudować ruiny. Dopiero po r. 1648 Stary Konstantynów począł się chylić ku upadkowi na dobre: najsilniejszy cios zadały mu bunty kozackie. Po bitwie, stoczonej pod miastem przez Jeremiego Wiśniowieckiego w r. 1648, Krzywonos z kozakami wdarł się doń i sprawił okrutną rzeź, nieludzko pastwiąc się nad bezbronnymi mieszkańcami. Dalsze napady tatarskie i kozackie nie pozwalały się już miastu podźwignąć. Około r. 1700 częste najścia wrogów przywiodły Stary Konstantynów „ad extremum", iż przypominał „desolatam Arabiam". W kilkadziesiąt lat później inwentarze notują, że zamek i arsenał spustoszone, ratusz „pięknej architektury" zniszczony, a domów można się było dorachować ledwie dwustu kilkudziesięciu.

Ku końcowi XVIII-go wieku, gdy czasy nastały spokojniejsze, liczba domów wzrosła trzykrotnie. Przez cały ciąg istnienia Starego Konstantynowa wyliczają w nim 8 cerkwi; z tych pozostały tylko trzy (jedna na zamku). Poza tem były tutaj dwie świątynie katolickie z klasztorami dominikanów i kapucynów. Dominikanie osiedli w Starym Konstantynowie na początku wieku XVII-go; po kasacie klasztoru kościół ich przerobiono na cerkiew. Kapucyni zaś mieli tutaj swój kościół od r. 1754 (teraz parafialny po kasacie klasztoru w r. 1886).

J. Raczyński.

Szczep Lo-lo w Chinach. [1]

Na pograniczu Tonkinu i Chin południowych, w okolicy dzikiej, pokrytej łańcuchami górskimi, żyje szereg szczepów do dziś dnia mało znanych badaczom etnologom, zarówno ze względu na niedostępność ich siedzib, jak ze względu na nieufność i wojowniczość mieszkańców. A właśnie szczepy te budzą w nas szczególne zaciekawienie, wskutek bowiem odosobnionego życia, jakie pędzą, obyczaje ich i wierzenia zachowały wiele cech pierwotnych, zyskując zarazem pewne znamiona swoiste, niezmiernie charakterystyczne.

Niedawno, gdyż w czerwcu r. 1910-go, ukazała się ciekawa praca badacza francuskiego, dr. Legendre'a, stanowiąca cenny przyczynek do monografii jednego z mniej znanych plemion górskich Tonkinu, — bitnego plemienia Lo-lo. Praca ta, będąca owocem kilkakrotnego pobytu autora wśród siedzib rzeczonego plemienia, stanowi zarazem niejako uzupełnienie badań, prowadzonych już nieco wcześniej na obszarze północnego Tonkinu przez innego etnologa francuskiego, dr. Bonifacy'ego.

Wobec ciekawego tematu prac powyższych i obfitości interesujących szczegółów pozwolę sobie podać je w streszczeniu.

Lo-lowie zamieszkują część najbardziej wysuniętą na zachód prowincyi Seczuen'u. Jest to okolica wyniosła, górzysta, istny chaos szczytów, poszarpanych łańcuchów górskich i głęboko wciętych, przepaścistych dolin. Widać tu jednak i obszary bardziej dostępne: łagodne przełęcze, rozłożyste doliny i rozległe płaskowzgórza, porosłe bujnemi trawami. Na tych to właśnie obszarach zakładają

górale swe uprawne poletka, obsiewając je kukurydzą, owsem i gryką; większość jednak obszarów zostaje zużytkowana w charakterze pastwisk naturalnych dla licznych stad koni, bydła, mułów, kóz i owiec. Gdzieniegdzie na zboczach gór rozsiadły się lasy: niżej przeważają dęby i brzozy, ustępując miejsca bliżej szczytów sosnom i świerkom srebrzystym. Aż do 3500 met. nad poziomem podszycie leśne tworzy gęstwa rododendronów i bambusów, stanowiąc doskonałe schronisko dla różnorodnej zwierzyny: dzików, niedźwiedzi, antylop, muflonów, danieli i saren.

Klimat tej pięknej krainy górskiej jest wybitnie kontynentalny,—suchy, o silnie wyrażonych różnicach temperatury dnia i nocy, lata i zimy. Przez większą część roku, szczególniej w lecie i na jesieni, niebo tu bywa bez chmur, dzięki czemu powietrze nabiera niezmiernej przezroczystości, zarazem jednak susza daje się silnie we znaki. Upały letnie, poniżej 1800 metr. poziomu, dochodzą, a niekiedy nawet przewyższają 40° Celsiusza; zimą natomiast poniżej 2000 metr. poziomu ciepłota nigdy nie spada zbyt nisko, przyczem jednak skoki temperatury bywają bardzo znaczne. W dzień termometr częstokroć wskazuje +15° do +20° i wyżej; nocą rtęć opada poniżej zera. Dr. Legendre miał możność notowania skoków od +25° w południe w półcieniu do —2° w nocy i nad ranem.

Rzecz prosta, iż środowisko w jakiem żyje Lo-lo musiało wycisnąć swe piętno zarówno na jego organizacyi fizycznej i psychicznej, jak i na całym trybie jego egzystencyi. Żyjąc wśród gór, lasów i pastwisk, musiał stać się przedewszystkiem myśliwym i pasterzem; rolnictwo wobec natury gruntu i warunków klimatycznych nie mogło go pociągać, wymagało bowiem znacznego nakładu pracy, dając wzamian stosunkowo mizerne rezultaty. Więc też Lo-lo poświęca uprawie roli minimum swego czasu i pędzi bądź żywot pasterski, bądź oddaje się z zapałem tropieniu zwierzyny w gąszczach leśnych.

W związku z taką na poły nomadyczną egzystencyą Lo-lów mieszkania ich odznaczają się niezmierną prostotą. Są to raczej nędzne schroniska, niż mieszkania, sklecone poczęści z drzewa, poczęści z bambusu. Ściany, utworzone z poprzeplatanych giętkich łodyg bambusowych lub bambusu pociętego na pasy, wątłe są i przewiewne, słabo chroniąc od wiatru i chłodu; bale drewniane, bądź grube gałęzie, nawet nie ociosane z kory, tworzą węgły i podtrzymują dach, upleciony podobnie jak ściany z bambusu lub sklecony z kawałków kory sosnowej. Rozmiary chat bywają rozmaite, choć zawsze szczupłe; długość wnętrza waha się od 4—5 metr., szerokość zaś od $2^1/_2$—3 metr. Wprawdzie w niektórych wioskach położonych mniej głęboko w górach widzieć można domostwa obszerniejsze, a zarazem masywniej budowane, o ścianach ubitych z ziemi i dachu z desek, — są to jednak wyraźne naśladownictwa budowli chińskich, najzupełniej różne od prototypu miejscowego. Wnętrze chaty ubóstwem swem i prostotą odpowiada najzupełniej jej wyglądowi zewnętrznemu. Środek izby zajmuje ognisko; składa się ono z wgłębienia otoczonego trzema kamieniami, tworzącymi rodzaj ramy trójbocznej. Część izby, zagrodzona nizkiem przepierzeniem, służy zależnie od potrzeby bądź jako skład zapasów, bądź jako pokój gospodarczy, bądź wreszcie jako chlewik dla owiec, o ile w pobliżu chaty niema dla nich specyalnego pomieszczenia. Ani stołów, ani stołków, ani ławek w typowej chacie górala Lo-lo niema wcale; domownicy odpoczywają, jedzą i śpią, siedząc w kucki na ziemi dokoła ogniska. Ze sprzętów użytku codziennego dr. Legendre widywał w chatach: kociołki chińskie do gotowania strawy, miski i czarki drewniane, kosze na ziarno plecione z bambusu, sita, wreszcie bardzo pierwotne żarna do mielenia zboża. Żadnych zupełnie naczyń glinianych Lo-lowie nie umieją wyrabiać; czarki i imbryki porcelanowe, które niekiedy widzieć można u zamożniejszych przedstawicieli najwyższej kasty „czarnych kości", są pochodzenia chińskiego i zostały nabyte drogą wymiany. Również nieliczne i pierwotne są narzędzia rolnicze i rękodzielnicze. Do kategoryi pierwszych zaliczyć należy motyki i sochy, używane do uprawy roli, do drugich — niezmiernie proste przyrządy przędzalnicze, tkackie, narzędzia kowalskie i ciesielskie. Przędzenie i tkanie jest zajęciem kobiecem. Do przędzenia służy wrzeciono w postaci cienkiej pałeczki drewnianej u dołu grubszej i zaciętej w kształcie ostrza strzały, co zapobiega obsuwaniu się przędzy. Nić wyprzędzona jest gruba i nierówna. Co się tyczy warsztatu tkackiego, składa się on poprostu z kilkunastu patyków pionowo obsadzonych w ramie i kołka wbitego w ziemię, do którego przywiązane są nici osnowy. Samo tkanie polega na przewlekaniu nici wątku naprzemian pod i nad poszczególnemi nićmi osnowy.

Do czasów ostatnich te właśnie grube tkaniny wyrobu miejscowego stanowiły wyłączną odzież szczepów Lo-lo. Zarówno mężczyzni jak kobiety nosili wkoło bioder kawał zdrapowanego materyału, który w licznych fałdach opadał do połowy łydki. Inny kawał tkaniny, przymarszczony dokoła szyi, okrywał górę ciała, tworząc pelerynę, a raczej coś w rodzaju naszych chłopskich zapasek, noszonych przez wieśniaczki na plecach. Dolna część ubrania wyrabiana była z wełny barwy naturalnej szarej lub czarnej; na peleryny używano częstokroć i tkanin białych. Okrycie głowy, również wyrobu samodziałowego, stanowił dla mężczyzn rodzaj

zawoju, dla kobiet — chustka oryginalnie upięta i spadająca na kark, nakształt ręcznika. Cały przeto ubiór górala-pasterza był produktem wyłącznie tylko wełny jego owiec. Dziś stosunki te uległy pewnej zmianie. Wraz z rozwojem kolporterstwa chińskiego najdalsze nawet wsie górskie zaopatrują się w towary bawełniane, z których kobiety sporządzają kaftany, spódnice i spodnie. Na okrycie głowy dobierane są specyalnie jaskrawe tkaniny. Strój dawny, całkowicie wełniany, zachował się tylko gdzieniegdzie wśród klas uboższych. Natomiast peleryna do dziś dnia jest powszechnie używana jako okrycie zwierzchnie. Oprócz niej Lo-lowie wyrabiają inny jeszcze rodzaj oryginalnych „płaszczów od deszczu", używanych przez pasterzy w czasie niepogody. Są to peleryny z siatki, w której oczkach umocowane są rzędami liście palmy Trachycarpus excelsa, podarte niby na wstęgi; szeregi liści, zachodzące jedne na drugie, tworzą powierzchnię nieprzemakalną dla deszczu, po której woda spływa z łatwością w dół. Obuwia ze skór Lo-lowie nie używają zupełnie; chodzą bądź boso, bądź też noszą sandały słomiane, które każdy sam sobie plecie.

Lo-lowie nie mają zwyczaju rozbierania się na noc i śpią w tej samej odzieży, w której chodzą, szczelnie otuleni w peleryny. Obyczaj ten jest jednocześnie wynikiem surowego klimatu górskiego i zupełnego niezabezpieczenia nędznych chat od wiatru i chłodu, jak również ustawicznej czujności wojowniczych górali, gotowych każdej chwili stawić czoło napadającemu wrogowi lub zerwać się do zaczepnego boju na wezwanie wodza. Rzecz prosta, iż w podobnych warunkach czystość i schludność nie może być właściwością Lo-lów. Zresztą, przyznać należy, że brak tych cennych zalet jest objawem niezmiernie rozpowszechnionym na kuli ziemskiej, i spotkać go można u wielu ludów, pozostających bez porównania w lepszych warunkach środowiska i na znacznie wyższym poziomie kulturalnym niż Lo-lowie. W porze letniej Lo-lowie kąpią się dla ochłody w strumieniach, a chodząc przeważnie boso, myją stopy w rosie lasów i pastwisk; poza tem woda nie odgrywa żadnej roli w ich tualecie. Również kobiety nie uważają za potrzebne myć twarzy i ciała, i myją jedynie tylko ręce przed rozpoczęciem gotowania strawy.

Mniej jeszcze wybredny, niż w zakresie odzieży, jest Lo-lo w zakresie jadła. Zwykłą strawę jego stanowi gęsta polewka owsiana, gryczana, lub kukurydzowa i mięso gotowane, bądź pieczone. Z mąki kukurydzowej sporządzane są również placki pieczone w popiele. Kartofle znane są wśród górali i dość powszechnie uprawiane; ryż natomiast, sprowadzony dopiero przez chińczyków, należy do przysmaków bardzo rzadkich z powodu braku gruntów odpowiednich pod jego uprawę. Jadło gotowane jest bez wszelkich przypraw, najczęściej nawet bez soli, która na równi z trzciną cukrową jest raczej zaliczana do łakoci. Sól kupuje się u handlarzy chińskich, trzcina cukrowa natomiast zdobywana jest drogą rabunku z wiosek chińskich, położonych w dolinie. Ciekawy jest fakt, że Lo-lo wbrew obyczajom innych górali-pasterzy gardzi mlekiem swych stad, pozbawiając się w ten sposób pożywnego i zdrowego posiłku. Lo-lowie znają sposób konserwowania mięsa w postaci sproszkowanej. W tym celu mięso pocięte na długie paski podlega wysuszeniu nad ogniem, bądź wprost na wietrze. Po zupełnem wyschnięciu kawałki zostają utłuczone lub zmielone na proszek, który przechowywać się może od roku do dwóch lat, zależnie od stopnia wysuszenia mięsa. Udając się na wyprawę wojenną, co jest zdarzeniem nader pospolitem wśród tych bitnych szczepów, wojownicy biorą ze sobą w woreczek skórzany pewien zapas proszku mięsnego i mąki owsianej. Zaczerpnąwszy na dłoń wody ze strumienia, Lo-lo rozrabia nieco mąki lub proszku i łyka przyrządzoną w ten sposób gałkę. Gałki takie stanowią częstokroć przez ciąg dni kilku lub kilkunastu wyłączny posiłek wojowników.

Pomimo obfitości węgla kamiennego na obszarze zajmowanym przez szczepy Lo-lo opał drzewny jest prawie wszędzie w wyłącznem użyciu, co się łatwo tłomaczy bogactwem lasów. Ogień bywa rozniecany zapomocą krzesiwa i hubki; smolne drzazgi lub szczapy trzymane w ręku albo zatknięte gdziebądź stanowią jedyny środek oświetlenia.

(DCN) *K. Stołyhwo.*

LIST DO REDAKCYI.

Odpowiedź p. A. Chmielińskiej.

W odpowiedzi na gorący artykuł p. Chmielińskiej czuję się w obowiązku dać kilka słów niezbędnego wyjaśnienia.

Dając zajmujące szczegóły z życia Anastazyi Pawliny, autorka przedstawiła jedynie wdzięczny przykład wyjątku z ogólnej reguły, co jednak w niczem nie zbija samego faktu obniżania wartości dzieł sztuki przez zbyt pospieszne ich rozpowszechnianie. Szczęśliwą można nazwać tę okoliczność, że Anastazya Pawlina znalazła poparcie i opiekę dla swego niewątpliwego talentu u osób, które umiały ją ocenić. Każdy prawdziwy twórca pozostanie takim, o ile, bądź dla dogodzenia ambicyi, bądź dla osiągnięcia zysków materyalnych nie tworzy więcej i pośpieszniej, niż gdyby pobudki te nie istniały. Obniży natomiast swój lot, jeśli pobudkom tym, czysto zewnętrznym, da przewagę nad wewnętrznemi. Pokusie takiej nie uległa Pawlina, gdyż okazała się typem nieprzeciętnym. Jednostki słabsze, naśladujące Pawlinę nie z potrzeby wewnętrznej ale dla widomych zysków, ulegną niewątpliwie. Ponieważ zaś jednostek przeciętnych jest więcej, one więc stwarzają zasadę.

Dość przytoczyć ogólnie znany przykład. Znana jest powszechnie wartość sztuki podhalańskiej, wiadome jest, w co się przekształciła ta sama sztuka „rozmieniona na drobne" na skutek wytworzenia dużego rynku zbytu.

Przedtem, pragnienie piękna musiało być silne, by przemódz trud czynności wykonawczej. O ile zaś było silne, stwarzało dzieła sztuki, miało natomiast tę wadę, iż nie przynosiło żadnej korzyści materyalnej. Obecnie, z powodu dużego zapotrzebowania przedmiotu, t. zw. „zakopiańszczyzny", podniósł się dobrobyt ogólny, wyrabianie ich bowiem zatrudnia i żywi wielu pracowników. Przedmioty te wykonane są poprawnie i gładko, natomiast razi w nich nadużywanie bez końca wielokrotnie już widzianych motywów; na stworzenie nowych braknie czasu. Naturalnie i tu, jak wszędzie, zdarzają się wyjątki. Wogóle jednak przedmiotom tym można postawić jeden główny zarzut, mianowicie: iż nie mają nic wspólnego ze sztuką. [1])

Zofia Plewińska.

---

[1]) Zamieszczając odpowiedź p. Pl. i związany z zagadnieniem powyższem artykuł p. Maryana Wawrzenieckiego, którego poglądy redakcya najzupełniej podziela, zamykamy na tem polemikę, uważając sprawę za wyjaśnioną. (P. red.).

□□□□□□□□□□

Ze skarbów naszej przyrody.

11

6. Gymnadenia odoratissima Rich.

Gołek pachnący.

Bulwy splaszczone, dłoniasto-rozgałęzione. Łodyga prosta, sztywna, z pochwiastymi liśćmi u spodu. Liście długie, lancetowate, sinawo-zielone, ostatni wierzchołkowy podobny do przykwiatka. Kłos kwiatowy początkowo stożkowaty, następnie cylindryczny; kwiaty maleńkie. Przykwiatki zaostrzone, długości zalążni o trzech żyłkach. Listki okwiatu — zewnętrzne śpiczaste, odstające; wewnętrzne — zaokrąglone, stulone. Warżka równomiernie trzyklapkowa o klapkach zaokrąglonych. Ostroga znacznie mniejsza od zalążni; czasami jej brak. Kwiaty karmazynowo-czerwone z zapachem wanilii.

Kwitnie w czerwcu i lipcu.

Specyalnie lubi podłoże wapienne.

Jastrzębowski znajdował go w lasach suchedniowskich, Drymmer w Puszczy Białowieskiej.

(DCN) *K. Sztejnbok.*

Do naszych Czytelników.

Wywiązując się z przyrzeczenia, danego w zapowiedzi na rok bieżący, jesteśmy w możności zawiadomić łaskawych czytelników i przyjaciół naszych, że pierwszy z zapowiedzianych przez nas

numerów monograficznych

ukaże się w ciągu najbliższych tygodni. Będzie to specyalny

numer kaszubsko-pomorski,

obrazujący w szeregu poszczególnych opisów i monografii to wszystko, co dziś każdy polak o tym pięknym i ciekawym zakątku kraju naszego wiedzieć powinien.

Dzięki łaskawej pomocy jednego z najdzielniejszych działaczy tamtejszych, poety i pisarza, redaktora „Gryfa"

dr. Aleksandra Majkowskiego

udało się nam uzyskać cały szereg studyów, niewielkich objętością, ale oświetlających różne strony bytu i życia kaszubów wyczerpująco i gruntownie. Tekst dopełniać będą liczne a piękne zdjęcia krajobrazów, typów i zabytków kaszubskich, tworząc ogółem całość miłą i pożyteczną.

Numer ten w podwójnej objętości ukaże się w połowie maja r. b.

Z Polskiego Tow. Krajoznawczego.

Dla ułatwienia wycieczkom przybywającym do Warszawy zwiedzania dzielnicy staromiejskiej postanowiła Komisya Wycieczkowa wydać krótki, treściwy przewodnik z wykazem najważniejszych pamiątek i zabytków.

W celu przygotowania odpowiednich przewodników i instruktorów dla wycieczek, przybywających do Warszawy, postanowiono zorganizować w lokalu Towarzystwa specyalne wykłady o Starej Warszawie, uzupełniane próbnemi wycieczkami po mieście. Sprawę tę przekazano p. Al. Janowskiemu.

Zarząd zatwierdził nowy Regulamin dla Oddziałów prowincyonalnych, który ujął w ściślejsze ramy organizacyę pracy — prawa i obowiązki Zarządów Oddziałowych.

Uchwalono przyznać członkom Towarzystwa Krajoznawczego 10% rabatu od wszystkich własnych oraz pozostających na składzie głównym wydawnictw,nabywanych wprost z Administracyi Towarzystwa w Warszawie.

Na prowadzenie badań nad magnetyzmem ziemskim w Królestwie Polskiem Zarząd przeznaczył z funduszów Towarzystwa rb. 100.

Podczas miesięcy letnich ma być zorganizowana wyprawa fotograficzna na pasmo Krakowsko-Wieluńskie w celu zgromadzenia materyału krajoznawczego, przyczem delegaci otrzymają polecenie poczynienia zdjęć fotograficznych z grot, schronisk, osobliwych skał i wogóle z ciekawszych okazów przyrody i ich zbiorowisk na tym terenie.

Do współdziałania powołane być mają w tej sprawie Oddziały: Częstochowski, Zawiercki, Kielecki, Miechowski i Jędrzejowski.

— Dnia 23 marca odbyło się miesięczne zgromadzenie członków Częstochowskiego oddziału T-wa Krajoznawczego.

Na posiedzeniu tem w obecności 33 osób p. Wróblewski zdał sprawę z delegacyi swej na ogólne zgromadzenie do Warszawy, poczem inż. Mańkowski wypowiedział w dalszym ciągu swą interesującą pogadankę „O zabytkach architektury w Polsce".

W poprzednich dwóch pogadankach p. M. opowiedział o tych nielicznych zabytkach architektury drzewnej, jakie dotąd pozostały,a mianowicie: o typowej chacie polskiej, dworkach szlacheckich, domostwach miejskich, kościołach z tak zwanemi sobotami, czyli podcieniami, cerkwiach rusińskich, w końcu bardzo charakterystycznych bóżnicach.

Obecnie przeszedł do zabytków murowanych, więc w pierwszym rzędzie do pomników architektury romańskiej i gotyckiej. Z epoki stylu romańskiego b. starożytne kościołki, małe, prostokątne w planie, jak np. ś-go Mikołaja pod Przyrowem, Kościoły w Wielkopolsce: w Gople i Kruszwicy, w Płocku, a także około Krakowa. Jako najbogatszy zabytek tej architektury w fazie przejściowej do gotyku, opisał klasztor cystersów w Sulejowie, szczegółowo zilustrowany i objaśniony na przezroczach.

Styl gotycki przeniknął do Polski w końcu XIII w., uprowadzony głównie przez biskupa Iwona, i trwał do wieku XVI. Prelegent wskazał na trzy kategorye kościołów gotyckich: jednonawowe, hallowe i bazylikowe; zaznaczył cechy charakterystyczne gotyku w Polsce, wynikające z właściwości naszego klimatu i materyału budowlanego, będącego w rozporządzeniu t. j. cegły; pokazywał piękne szczyty naszych kościołów gotyckich, które jedni nazywają stylem wiślano-bałtyckim, a inni nadwiślańskim; przytoczył wreszcie szereg budowli gotyckich świeckich.

Większość tych zabytków była pokazywana na przezroczach, niektóre w albumach lub ręcznych rysunkach prelegenta. Całość ta, pomimo b. zwięzłej formy, jaką prelegent musiał dać swej pogadance, niewątpliwie rozszerzyła zakres wiadomości u słuchaczów o zabytkach naszej architektury, za co go też szczerym obdarzyli oklaskiem.

□□□□□□□□□□

Z piśmiennictwa.

W lutym 1911 r. ukazał się tom XI. *Materyałów Antropologiczno- Archeologicznych i Etnograficznych* wydany staraniem Komisyi antropologicznej Akademii Umiejętności w Krakowie za rok 1910.

Tom liczy 322 stronice, 35 tablic ilustracyi i 75 rycin w tekście.

I) Dział archeologiczny pod red. prof. dr. Włodzimierza Demetrykiewicza zawiera prace: 1) Szembekówna Zofia: Opis cmentarzyska żarowego z epoki bronzu w Lipiu. (pow. kępiński W. Ks. Poznańskie)

2) Dr. W. Kuźniar i dr. W. Demetrykiewicz: Ślady siedziby człowieka przedhistorycznego z okresu paleolitu na górze Bronisławy około kopca Kościuszki pod Krakowem. 3) Czapkiewicz Bolesław: Materyały archeologiczne z Galicyi zachodniej. 4) Szukiewicz Wandalin: Cmentarzysko szkieletowe w Sałapiaciszkach (gub. wileńska) oraz 5) Kurhan ciałopalny przy wsi Wersoce (gub. wileńska). 6) Wawrzeniecki Maryan: Materyały do mapy archeologicznej Polski.

II. Dział antropologiczny pod red. prof. Juliana Talko-Hryncewicza: 1) Dr. Loth Edward: Przyczynek do kraniologii polskiej. 2) Rutkowski Leon: Charakterystyka antropologiczna ludności żydowskiej Płońska.

III. Dział etnograficzny pod red. Seweryna Udzieli: 1) Klich Edward: Materyały etnograficzne z południowo-zachodniej części powiatu limanowskiego. Teksty gwarowe. 2) Gawełek Franciszek: Przesądy, zabobony, środki lecznicze i wiara ludu w Radłowie w pow. brzeskim. 3) Dr. Kosiński Stanisław. Parodye i żarty w rzeczach religijnych. 4) Kolberg Oskar: Tarnów-Rzeszów: Materyały etnograficzne, uporządkował i wydał Seweryn Udziela.

Komisya w r. 1910 liczyła 66 członków, z tych 10 w Warszawie.

Posiedzenia odbywano w grudniu 1908 r., kwietniu, czerwcu i grudniu 1909 r. Na podstawie referatu dr. Demetrykiewicza przyjęto do druku pracę archeologiczną p. Maryana Wawrzenieckiego: „Opis grobów neolitycznych szkieletowych w Nałęczowie w Lubelskiem" i „Opis wykopalisk w Brwinowie pod Warszawą".

Następnie dr. Demetrykiewicz zdawał sprawę ze swoich wycieczek, dokonanych razem z p. Maryanem Wawrzenieckim w czasie których zbadano:

Krakuszewicę pod Bochnią, mogiłę Wandy (gdzie znaleziono ceramikę przedhistoryczną), Łapczyce pod Bochnią (grodzisko).

W „materyałach" uderza nieproporcyonalnie mała część poświęcona archeologii przedhistorycznej (70 str.).

Nauka ta od czasów dość dawnych była źle widziana, a to z powodu, że wyniki, które daje, przeszkadzają spokojowi pp. historyków.

Dział antropologiczny obejmuje tylko 65 stronic.

Etnografia zasobniej się przedstawia bo 116 stron.

Tom pod względem typograficznym oraz reprodukcyjnym przedstawia się okazale i świadczy, że pomimo wyjątkowo nędznego uposażenia tej komisyi, mimo wielkiej niechęci ze strony wszechpotężnych jeszcze historyków, nauka na tem polu *jednak się porusza.* Prawda, nikt nie pyta, jakimi dzieje się to wysiłkami *ze strony badaczy*; ile oni nędzy i prywacyi przeżyć muszą— boć przecie w Polsce *jest nauka*, ale żeby *nauka ta* miała i mogła *kosztować*, nad tem jeszcze nie pomyślano. Już to należy przyznać, że jeśli gdzieś u nas wbrew prawu natury dzieje się *„coś z niczego"*, to na polu nauki archeologii przedhistorycznej i etnografii *cud ten* istotnie ma miejsce.

Fibula.

□□□□□□□□□□

Nowe książki.

Zenon Chrzanowski. Kultura mieszkania. Treść: Dwór— pogląd ogólny — pokój dziecka — podłoga — ściana — sufit — drzwi i okna — firanki — piec — meble — oświetlenie — nakrycie stołu — rośliny i kwiaty — dzieła sztuki — literatura. Warszawa, 1911, str. 28, cena 25 kop.

Sprawa możności stworzenia sobie estetycznego— pięknego, a s w o j s k i e g o otoczenia najbliższego, sprawa możności posiadania nawet przez ludzi niezamożnych mieszkania, zastosowanego do współczesnych wymagań hygieny i estetyki, a jednocześnie posiadającego swoiste cechy naszej odrębności narodowej,—sprawa ta, dla kultury naszej pierwszorzędnego i zasadniczego znaczenia, może być rozwiązana w naszych warunkach jedynie przez urobienie w tym kierunku tak wyraźnych upodobań i wymagań ogółu, żeby z niemi musieli się liczyć i wytwórcy i ci, którzy wznoszą gmachy mieszkalne dochodowe, a więc takie, w których względy powyższe najmniej brane są pod uwagę. Żeby jednak ktoś się miał liczyć z wymaganiami ogółu, trzeba, żeby one były sformułowane zupełnie stanowczo i wyraźnie. Otóż o takim jednolitym wyrazie wymagań w tym kierunku dziś jeszcze u nas nie może być mowy, bo i nie wszyscy uznają potrzebę pierwiastku piękna, a szczególniej swojskości, w otoczeniu, i — co gorsze — w dziedzinie pojęć o pięknie i wygodzie panują u nas najdziksze sprzeczności. Trzeba na razie nie tyle stwarzać typ otoczenia, ile przedtem jeszcze urabiać w tym kierunku opinie, gusty, pragnienia. To też za objaw bardzo dodatni uważać należy każdy wysiłek otworzenia oczu ludziom na to, o jakiem otoczeniu na razie choćby marzyć, a z czasem jakiego domagać się powinni. Książeczka p. Z. Chrz. jest właśnie takim wysiłkiem, i to tem cenniejszym w naszych warunkach, że zawiera cały szereg praktycznych wskazówek, jakby szereg punktów wytycznych, nad którymi zastanowić się należy, żeby osiągnąć harmonijną, estetyczną i swoistą

całość mieszkania. Bardzo słusznie podkreśla p. Z. Chrz. zasadnicze cechy kulturalnego mieszkania, jak celowość wszystkich urządzeń, unikanie wszelkich niepotrzebnych sprzętów, ozdób, imitacyi wogóle,— skromność, prostotę i jednocześnie wytworność, daleką od zbytku; przystosowanie urządzenia całego do możności utrzymania jak największej czystości, możliwie bez wysiłków i trudności; obfitość światła, dobrą wentylacyę i t. p. Zgodzić się też można na propozycyę autora wzorowania się na nowoczesnych mieszkaniach angielskich, bo te posiadają dużo uroku prostoty i wytworności; należałoby tylko jeszcze gorącej podkreślić konieczność jednoczesnego dążenia do wytworzenia stylu swojskiego, do czego tyle materyału i to doskonale się nadającego już posiadamy. Starannie wydaną, zwięźle i jasno napisaną książeczkę p. Chrz. należy polecić uwadze i zastanowieniu się najszerszego ogółu. *M. W.*

◆ ◆ ◆

Franciszek Jaworski: Lwów stary i wczorajszy. Szkice i opowiadania, z ilustracyami. Lwów 1911 r. Nakład Towarzystwa wydawniczego; wydanie drugie.

Dziełem powyższem pomnożył autor, znany i skrzętny badacz, cały już szereg swych prac, dotyczących zabytków i przeszłości Lwowa. W niezwykle łatwej, rzekłbym nowelistycznej formie, przesuwa on przed oczyma czytelnika ciekawe postacie ubiegłych czasów, cenne zabytki i wypadki, jakich widownią był Lwów od XV do XIX wieku. Ścisłość historyczna łączy się tu z powabem i łatwością opowiadania, a z każdej niemal kartki wieje szczere przywiązanie do grodu ojczystego.

Wszystko to zapewnia książce poczytność — a najlepszym tego dowodem jest okoliczność, że pierwsze wydanie tej książki w ciągu nader krótkiego czasu zostało wyczerpane.

Dodać w końcu należy, że dzieło to, nader starannie wydane, zdobią liczne ilustracje, przedstawiające dawne widoki miasta, zabytki, pamiątki i t. d. — niektóre z nich z talentem odtworzone przy pomocy starych rysunków, planów i opisów. *W. F.*

□□□□□□□□□□

Kronika Krajoznawcza.

Ogłoszone niedawno sprawozdanie departamentu leśnego stwierdza między innemi, że gospodarka w lasach rządowych w Królestwie Polskiem znajduje się w bardzo dobrym stanie i że lasy te dają przeszło 6,000,000 rubli dochodu.

Ogólna przestrzeń gruntów, będących w zawiadywaniu zarządu leśnego wynosi w całem państwie 105,168,097 dzies., z czego na Królestwo Polskie przypada 742,859 dzies. Z przestrzeni tej lasy w Cesarstwie zajmują 84,104,672 dzies., w Królestwie Polskiem tylko 689,012 dzies., a mianowicie: w gub. warszawskiej 58,504 dzies., w kaliskiej 29,398, w kieleckiej 80,190, w łomżyńskiej 103,583, w lubelskiej 35,840, w piotrkowskiej 64,651, w płockiej 20,288, w radomskiej 113,852, w suwalskiej 182,716 i w siedleckiej 33,049. Przestrzeń zaś innych gruntów rządowych w Królestwie wynosi 53,847 dzies. We wszystkich leśnictwach rządowych Królestwa pracuje 187 strażników leśnych i 1,532 leśników, t. j. razem 1,719 osób.

W ciągu ostatniego roku z lasów w Cesarstwie sprzedano drzew nieściętych 5,632,520 sążni kub. za 42,157,074 rb., w Królestwie Polskiem zaś 240,975 sążni kub. za 5,387,356 rb. Średnia cena sążnia kubicznego wynosiła w Cesarstwie 7 rb. 50 kop., a w Królestwie Polskiem 22 rb. 35 kop., t. j. prawie trzy razy więcej, niż w Cesarstwie. Drzewa ściętego w Cesarstwie sprzedano 1,310,672 sąż. kub. za rb. 3,737,086, t. j. po 2 rb. 90 kop. za sążeń kub., a w Królestwie Polskiem 62,934 sąż. za 658,734 rb., t. j. po 10 rb. 46 kop. za sążeń kub.

Ogólny dochód z lasów i gruntów rządowych, będących w zawiadywaniu zarządu leśnego, wyniósł w roku sprawozdawczym 57,431,149 rb., z czego na Cesarstwo przypada 51,154,705 rb. i na Królestwo 6,276,444 rb. A zatem jedna dziesięcina w Cesarstwie dała dochodu 48 i pół kop., a w Królestwie Polskiem 8 rb. 45 kop.

+ W miejscowości Gatce, w gminie Mircu, pow. iłżeckim, gub. radomskiej, odległej o 10 wiorst od stacyi kolei dąbrowieckiej Skarżyska, zostały odnalezione, jak donosi „Gaz. Warszawska", bogate pokłady kamienia, piaskowca białego, który po odbytych próbach, okazał się bardzo wytrzymały i odpowiedni do robót, szczególniej budowlanych; w celu eksploatacyi tych pokładów, zawiązała się spółka, złożona z pp.: Wincentego Skwarskiego i Bolesława Dobrzyńskiego, przemysłowców z Warszawy, fachowych rzeźbiarzy, którzy z nadchodzącą wiosną przystępują do przedsiębiorstwa z poważnym kapitałem.

TREŚĆ: *Józef Smoliński* — Ś. p. prof. Maryan Sokołowski (z 1 ryc.); *dr. B. Dybowski* — Dwie Świtezie (z 3 ryc.); *M. Wawrzeniecki*—Po Wystawie Zdobnictwa Ludowego; *J. Raczyński* — Dwory, zamki i pałace — 25. Zamek w Starym Konstantynowie (z 1 ryc.); *K. Stołyhwo*—Szczep Lo-lo w Chinach; *Zofia Plewińska* — List do redakcyi. Odpowiedź p. A. Chmielińskiej; *K. Sztejnbok* — Ze skarbów naszej przyrody (z 1 ryc.);— Do naszych czytelników.—Z Polskiego Tow. Krajoznawczego. — Z piśmiennictwa. — Nowe książki.— Kronika krajoznawcza.— Poza tekstem: Z naszych krajobrazów: 24. Jezioro Chodeckie.

Winietę tytułową i ozdoby w tekście (motywy łowickie) rysował Mikołaj Wisznicki. — Odbito w tłoczni Piotra Laskauera. — Składał i łamał St. Miścicki.—Odbijał na maszynie W. Kaczorowski.— Klisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki. — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwieć